

Zapomnijcie o Kresach. Kresy nie istnieją

14 kwietnia 2014



95 lat temu, 12 kwietnia 1919 roku, powstał Związek Ziemi Wołyń, którego członkowie rozprawiali na zjeździe o polskości Kresów. Dziś nie ma o czym rozmawiać, choć Polacy wciąż nie chcą przyjąć tego do wiadomości.

Ostatnie wydarzenia na Ukrainie, w szczególności zaś rosyjska interwencja na Krymie, obudziły w Polsce demony. Do nigdy niezasypiającej głupoty dołączył nieco komiczny imperializm w wersji mikro i sentymentalny nacjonalizm. Wszystkie one krzyczą głośno: „polskie Kresy!”, „Polski Lwów!”. Równie dobrze mogłyby krzyczeć „polska Alaska!”.

Gdy tylko zaczęto spekulować, że Rosja może zechcieć zagarnąć dla siebie wschodnią i południową Ukrainę, a szczególnie gdy sięgnęła już po Krym, pojawiły się w Polsce opinie, że powinniśmy z kolei „odzyskać” Lwów i otaczające go tereny (być może aż po Zbrucz?). Nikt poważny ich na szczęście nie podchwycił, ale dyskusje toczone w serwisach społecznościowych i niektórych portalach internetowych jasno pokazują, że nie brakuje osób, dla których włączenie Kresów w granice

Rzeczpospolitej powinno być stałym celem polskich rządów. Przekonanie takie należy uznać za groźne dla bezpieczeństwa i dobrobyt naszego kraju.

ZAPOMNIEĆ O KRESACH

Trzeba powiedzieć wyraźnie, że jakiegokolwiek plany „odzyskiwania” ziem należących obecnie do naszych wschodnich sąsiadów są nie tylko całkowicie nierealistyczne, ale przede wszystkim ze wszech miar dla Polski szkodliwe. Jakakolwiek agresja militarna z naszej strony oznaczałaby wyłączenie nas poza nawias społeczności szeroko pojętego Zachodu, przy jednoczesnym podważeniu przez nas samych powojennego porządku w Europie (a więc również naszych granic na zachodzie, północy i południu). Polska stałaby się państwem bez sojuszników, mającym wrogów na całej wschodniej granicy i leżącym coraz bliżej Rosji, która mogłaby teraz jeszcze śmielej dążyć do przywrócenia swojej dominacji na obszarze byłego ZSRR. Do tego należy doliczyć koszty integracji i utrzymania (jeśli nie wojny domowej) dużego i biednego obszaru zamieszkałego przez ludność wrogą, obcą kulturowo i językowo.

Tymczasem to istnienie niezależnej, stabilnej i rozwijającej się Ukrainy powinno być naszym celem i pragnieniem. Jest tak nawet pomimo sporów historycznych między oboma krajami, żywych nacjonalizmów i możliwej w przyszłości rywalizacji w regionie. Polska polityka wobec wschodniego sąsiada determinowana jest w ostatnich dekadach przekonaniem o konieczności utrzymania bufora między Rzeczpospolitą a Rosją. Nawet jeśli o tym zapomnieć, biedna i pogrążona w zamęcie Ukraina generować będzie stałe zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa. Z drugiej strony dobrosąsiedzkie, partnerskie relacje na różnych płaszczyznach (politycznej, gospodarczej, kulturalnej) byłyby nad wyraz korzystne. Ale niemożliwe, jeśli wciąż będzie nam się wydawać, że „szkoda gadania (...) nie ma jak Lwów!”.

Polska znajduje się zatem między Odrą a Bugiem, między Tatrami a Bałtykiem i nigdy już nie będzie ani „od morza do morza”,

ani nawet od Szczecina do Lwowa. I trzeba mieć nadzieję, że tak już zostanie, bo gdyby coś miało się w tym względzie zmienić, oznaczałoby to niechybnie tragedię wojny, migracji i przesiedleń.

KRESÓW JUŻ NIE MA

Oczywiste jest, że Kresy odegrały w polskiej historii doniosłą rolę, a okres ich przynależności do Rzeczypospolitej wspominany jest jako czas świetności naszego państwa. To jasne, że dziedzictwo kulturalne Kresów jest dla polskiej kultury i tożsamości kluczowe i bezcenne. Nie można o tym wszystkim zapominać, wręcz przeciwnie, pamięć o historii należy pielęgnować. Stąd zrozumiała jest potrzeba organizowania chociażby festiwalu kultury kresowej w Mrągowie (choć proszę sobie wyobrazić reakcje na analogiczny festiwal urządzony w Niemczech przez Erikę Steinbach!), nie mówiąc o poważniejszych przedsięwzięciach kulturalnych.

Problem zaczyna się wtedy, gdy świadomość dawnej polskości Kresów (które nigdy nie były jednakowoż polskie na wyłączność!) służyć zaczyna za uzasadnienie do współczesnych politycznych i militarnych poczynąń. Czy nawet do jakiegokolwiek podważania prawa Litwinów, Białorusinów i Ukraińców do należących dziś do nich ziem. Nie ma znaczenia, jaki procent mieszkańców Lwowa i Wilna stanowili przed wojną Polacy i kto wybudował tamtejsze kamienice, kościoły itd. Nieważne jest, że na Kresach urodził się Mickiewicz, Kościuszko, Piłsudski i inni. Nie jest istotne, jak niesprawiedliwe były jałtańskie (nie mówiąc o rozbiorowych) podziały. Liczy się to, że w wyniku wojen, deportacji, repatriacji i czystek etnicznych (zostawmy na boku spory o termin „ludobójstwo”) polskie Kresy przestały istnieć. Zostały co najwyżej wzniesione przez Polaków budynki, mniej lub bardziej zaniedbane zabytki, które wzbudzać powinny zadumę nad losami państw i narodów, nie zaś rządę posiadania.

Nie ma polskich Kresów, bo nie ma tam już Polaków. Kolejni z

naszych wielkich rodaków rodzić się będą w Szczecinie czy Wrocławiu, nie zaś w Nowogródku lub Krzemieńcu. Dziś Lwów jest ukraiński chyba nawet bardziej niż Wrocław jest polski, u nas wciąż nie brakuje bowiem głosów, że nie warto restaurować dolnośląskich zabytków ze względu na ich niemiecki rodowód. Polskość Kresów jest więc dziś złudzeniem, mitem, fantasmagorią żyjącą w sentymentalnych umysłach.

Dla prób zdobycia Lwowa – jakimkolwiek sposobem – nie ma zatem żadnego uzasadnienia. Mogłoby to służyć jedynie podbudowie ego tych ludzi, którzy czują potrzebę bycia obywatelem chociażby najmniejszego i czysto regionalnego mocarstwa. Poprawiłoby to również chwilowo samopoczucie tych, którzy sądzą, że „historyczna racja” o ojcach, dziadach i sztandarach może uzasadniać działania nieliczące się z losem milionów ludzi. Oby nigdy nie spełniły się ich sny.

Autor: Roman Sidorski

Zdjęcie: [Водник](#)

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](#)